

z muzyki w Pradze. Przychodzi mu to tem łatwiej, ile że poza fachem śpiewaczym, gra biegle na skrzypcach i fortepianie. W r. 1903 bierze Ludwig udział w imprezie operowej dyr. Hellera w Krakowie i Łodzi, po której zamknięciu przyjmuje obowiązki sekretarza kasy chorych w Stanisławowie. Tu zakłada chór robotniczy prosperujący wybornie, organizuje z amatorów miejscowych przedstawienia operowe, a po części bierze gorliwy udział w akcji politycznej. Oprócz talentu muzycznego i aktorskiego, posiada Ludwig jeszcze i jeden talent rzadki u śpiewaków... talent oratorski. Kilkogodzinne mowy niejednokrotnie, wśród nieprzychylnych warunków atmosferycznych, nie wpływają ujemnie na rozwój nie tylko pięknego, ale i

wspaniałego barytonu, jakim rozporządza doskonały ten śpiewak, lecz kto wie, czy nie pomagają mu do rozwinięcia się i utrwalenia siły głosu, tudzież dobrej szkoły, w jaką go uzbroili Souvestrowie, bo w chwili, kiedy dyr. Heller wezwał go do apelu, stanął on jak towarzysz pancerny, zbrojny i strojny w talent, głos, doświadczenie śpiewacze, wzmocnione doświadczeniem mowcy, a stanął w pierwszym szeregu i na miejscu naczelnem.

Jakim jest Ludwig jako śpiewak i artysta, zbytecznem byłoby wspominać, gdyż poza wysoce pochlebnymi referencyami pism codziennych i my dawaliśmy w ciągu obecnego sezonu niejednokrotnie wyraz uznania. To tylko dodać musimy, iż poza obecnie śpiewanemi partyjami, z których ka-

żda jest kreacją skończoną, p. Ludwig jest jedynym z polskich barytonów, mogącym się poszczycić największym repertorem polskim. Dość wymienić takie partyje jak Wołodyjowskiego („Pan Wołodyjowski“ Skirmunta) Saranaresa („Urvasi“ Dłuskiego), Zbigniewa („Mazepa“ Müncheimera) i cały szereg partyj oper, stale na repertuaru polskich scen się utrzymujący.

Z temi zaletami, z tym entuzjazmem do sztuki, pięknie zapowiada się prosta linia kariery młodego śpiewaka, któremu z całego serca życzymy powodzenia i sprawiedliwego uznania. — *urs.* —



## „Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

18

(Ciąg dalszy).

Ciarki przeszły po jej ciele. Ale nie drgnęła z miejsca, nad słuchując pilnie. Za chwilę wyraźniej zapukano do okna.

Jeszcze nie dniało. Za oknem było ciemno zupełnie, podobnie jak w jej pokoju, gdzie ogień wygasł w piecu przed wieczorem, a lampy jeszcze nie zaświecała umyślnie. Co to miało znaczyć — myślała w trwodze. Wtem usłyszała pod oknem:

— Jasna pani dziedziczko...

W ciszy rozpoznała akcent żydowski w tych słowach. Czyżby Moszko? Ale o tej porze... Podeszła na palcach do okna i stanęła z boku, chcąc wyjrzeć przez szybę, sama niedostrzeżona. Jednakże nic nie zobaczyła, bo mróz szyby zamałował srebrnymi kwiatami, a śnieg grubym wałem osiadł na gzemisie.

Pukanie mocniejsze końcem kija w szybę powtarzało się raz za razem w wielkich czasu odstępach.

— Proszę jasnej pani... niechno dziedziczka wstaje — mówił wyraźnie Moszko pod samem oknem, tak, że nie mogła mylić się co do jego osoby. Więc palcem stuknęła w szybę na znak, że tak. A wtedy faktor, zauważywszy to, odezwał głosem przyciszonym:

— Niech dziedziczka wyjdzie... sanie czekają zaraz za figurą... Nie można było czekać do wieczora, bo dowiedzieliby się we dworze... Niech się jasna pani pośpieszy tylko z ubieraniem... Ja tu postoję i zaprowadzę do furmana...

Teraz zrozumiała... Więc pośpiesznie zapaliwszy lampę, dokończyła się ubierać, zabrała swój tłomoczek i będąc już gotową, zgasła naraz światło, chcąc tem dać znak Moszkowi, iż wychodzi. Istotnie na skutek tego faktor poskoczył na ganek, na którym schody pod zmarzłym śniegiem zaskrzypiały...

Mroźno było tak na dworze, aż tchu w pierśiach zabrakło kobiecie, gdy zeszła z ganku na dziedziniec i znalazła się w otoczeniu puchów śnieżnych...

Moszko prowadził ją.

Sama nie wiedziała dokąd idzie i którądy, tak naokół wszystko było śniegiem zawiane.

Szli razem kilka długich minut, w ciągu których dziedziczka dygotała widocznie i z zimna i z jakiegoś wewnętrznego lęku.

Aż naraz żyd przystanął.

— Tutaj, proszę pani dziedziczki...

Obejrzała się i z boku za węglem budynku spostrzegła coś ciemnego.

Tam się zwrócili oboje.

Pod ścianą stały sanie chłopskie, zaprzężone we dwa konie, obok nich zaś stał furman w kożuch tak zamatulony, iż go niemal widać nie było.

— Nu, niech teraz jasna pani mnie powie, czy Moszko nie jest porządny żyd... Obiecał i wszystko jest, jak ma być... Nawet jest więcej, niż być miało, bo są na saniach koce... Będzie ciepło... można okryć się przed śniegiem, żeby nie zasypał ze wszystkim po uszy, bo tak bestya sypie, jakby już nie miał co lepszego do roboty...

Podczas tych żartów Moszka dziedziczka wsiała na sanie i o tyle, o ile, pokrywała się kocami, oblepionymi białą warstwą śniegu.

— Nie będzie to podróż wygodna — pomyślała sobie i przyszło jej na myśl zarazem, że naraża zdrowie, wybierając się w dłuższą drogę w taki sposób — byleby się tylko nie przeziębila...

— Nu... szczęśliwa droga — zawołał żyd — wszystko gotów... możecie jechać...

— A daleko to do świtu — zagadnęła naraz strwożona ciemnością podróżna.

— Zaraz będzie jasno, niech się jasna pani nic nie boi — odparł żyd pośpiesznie.

— A furman zna drogę, pewny jesteś tego, Moszku... może to niebezpiecznie jechać w tak wielką zamięć... Ja się boję ruszać w drogę, póki tak ciemno jeszcze...

Żyd zachnął się, chciał coś powiedzieć, ale się wstrzymał w porę.

Wtem tuż za nimi koń zarżał. Zdziwiło to dziedziczkę, nie mogła się bowiem zorientować, skąd ten blisko głos pochodził. Żyd się zaśmiał.

— To takie mroźne powietrze i dlatego zdaleka bardzo tak słycać wszystko.

— Możebyśmy jednak zaczekali — nalegała znowu pani Edwardowa — dopóki dzień się nie zrobi.

Moszko nachylił się do jej ucha, jak gdyby nie chciał być słyszany przez furmana — i szeptał tajemniczo:

— Czy pani koniecznie potrzebuje, żeby się dowiedzieli we dworze... A jak pani będzie czekała, zwlekała, to pani na miejsce nie dojedzie... Ja się staram, ja biegam na mróz, na śnieg po nocy za końmi, za furmanem, sanie sprowadzam, żeby tylko prędko zrobić wszystko, nim się kto potrzebuje dowiedzieć we dworze, a jasna pani dziedziczka jeszcze grymasi... Nu, jak pani zresztą chce, ja swoje zrobiłem, ale po co ja potrzebowałem kłopotać się o takie rzeczy...

— Jedźmy — przerwała głośno, rozdrażniona jego tonem kobieta, a Moszko na to potrącił w ramie furmana i w bok odskoczył.

Bat gwizdnął w powietrzu.

Konie ruszyły i w jednej chwili sanie z panią Edwardową znalazły się daleko od folwarku wśród ogromnej przestrzeni śniegiem wybielonej, na której nie widziała już nic, prócz tej białości oślepiającej i odczuwała tylko zimno dotkliwie...

A ledwie płozy z miejsca ruszyły, uwołając dziedziczkę, żyd szybkim krokiem poskoczył za budynek gospodarski, przed którym oczekiwały konie na panią Edwardową.

Chrzakając głośno, obszedł go dokoła. Z przeciwnej strony stały również sanie, ale innego kształtu i w lepsze konie zaprzężone. Jeden z nich właśnie rżał przed chwilą i nie dziw, że bliskość głosu końskiego zaintrygowała na moment dziedziczkę.

— Pojechała nareszcie — odezwał się teraz głos w ciemnościach — udało się Moszkowi...

— Co mnie się potrzebowało nie udać... Nu, ja trudniejsze robiłem geszefty w swoim życiu, a już trochę czasu przecież żyję na świecie...

Co mówiąc, wskoczył żyd na sanie, które okrążywszy budynek, wjechały na drogę i w jednej chwili znalazły się przed gankiem folwarcznym.

Konie w uprząży dzwonek nie miały, a śnieg leżał już warstwą bardzo grubą, więc zajechano przed dom tak cicho, iż nie mogło to zbudzić nikogo wewnątrz. Zresztą, w samym dworze spał tylko ksiądz Jan, dziedziczka wyszła z domu przed kwadranssem, a służba i tak noce spędzała obecnie jedynie w oborze.

Moszko zeskokczył z sanek i pomógł z nich wysiąść kobiecie.

Któżby nią był, jeśli nie siostra Felicja.

Woznica nawrócił, żeby do stajni konie zaprowadzić, a tercyarka weszła z żydem na ganek, otrzepali się ze śniegu, poczem za chwilę, już przy świetle siedzieli w pokoju, który co dopiero opuściła żona pana Edwarda.

Ważną mieli z sobą naradę. Jakkolwiek nikt ich słyszeć nie mógł, rozmawiali wszakże ciągle szeptem.

Były chwile, że żyd się unosił i wówczas parę słów powiedział głośnie; wtedy zaraz mitygowała

go Felicja. Przeciwnie, znowu nieraz ona głos podniosła, a wówczas Moszko pytał z cicha:

— Po co pani potrzebuje tak krzyczeć...

Żyd darł w brodzie włosy, wstawał nagle z krzesła i zaczynał przechadzać się w podnieceniu, nawet biegać po pokoju. Niekiedy znowu Felicja z pięściami zacisniętymi przyskakiwała mu do oczu, aż się Moszko cofał do drzwi...

Dość, że narady ich były burzliwe, a sprawa, jaką omawiali potajemnie nocą na folwarku, musiała być nie małej wagi.

Z urywanych słów, głośnie wypowiedzianych, nie mógłby być nikt wywnioskować, o co idzie.

— Na to się Niemiec nie zgodzi! — padało często z ust Moszka.

— Nieprawda — wołała Felicja — zgodzi się Niemiec, tylko ty Moszku chciałbyś od razu zrobić na takim jednym interesie majątek złoty... i dlatego utrudniasz sprawę... Jeśli będziesz dalej tak prowadził ten interes, to ja sama na własną rękę i bez twego pośrednictwa, rzecz całą załatwię... Zobaczysz, że ja gotowam choćby dziś jeszcze zobaczyć się z tym Niemcem osobiście...

— Cicho, sza, niech pani uważa, bo kto usłyszy...

— — — — —

Sanie, uwołące z folwarku dziedziczkę, sunęły po śniegu gładko tak szybko, że podróżnej wydawało się chwilami, iż albo furman przewróci sanie, albo ją z nich po drodze w śnieg wysypie...

Na każdym zakręcie starała się trzymać rękami boków sani, byle nie wypaść.

Myślała nad tem, co za dobre konie znalazł jej faktor, nieczem dworskie... To może i lepiej nawet, będzie prędzej, bo gdyby droga miała trwać długo, czując, że zamarzyłabym na tych sankach.

Koło małego gaju przejechali właśnie, gdy wtem z boku, dzwoniąc hałaśliwie, wypadła jak wiatr czwórka gniada.

Tuż koło pani Edwardowej pomknęły piorunem konie dworskie. Prócz woznicy siedział jeden człowiek w saniach, ale nie można było rozpoznać, kto nim był.

W futrze zaśniewionem przywidział się pani Edwardowej mąż jej, co było tem prawdopodobniejsze, ile że sanki i czwórka gniada napewne były z ich dworu.

Ale dokądżeby mógł Edward tak pędzić w tej chwili.

Jechał w przeciwnym kierunku, aniżeli ona, a zatem możnaby sądzić, że właśnie w stronę folwarku.

Myśl ta intrygowała ją, ale jakoś nie łatwo jej było zwierzać się z tą myślą przed furmanem.

Mimo to jednak zdecydowała się zapytać go w przekonaniu, że jest to człowiek zgola jej obcy, który słyszał nie zrozumie nawet.

— Słuchaj no, czy to były konie dworskie?

Odpowiedzi nie było na jej pytanie.

— To zdaje się pan dziedzic sam pojechał tą czwórką... nie widziałeś, co?

Furman milczał. Tylko konie popędzął, drażniąc je końcem biczyska.

— Przecież chyba nie jest niemową — myślała, przypominając sobie, że wogóle jeszcze głosu jego nie usłyszała ani razu.

Chciała ręką trącić furmana w ramię, przypuszczając, że może nie dosłyszał jej głosu, cały zakutany w kożuch niemal po same czoło; ale pędzili ciągle tak szybko, że musiała oburącz trzymać się siedzenia, by nie wypaść z sanek i zaniechała tego zamiaru.

(Ciąg dalszy nastąpi).

